

WACŁAW IWANIUK

WYBÓR WIERSZY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

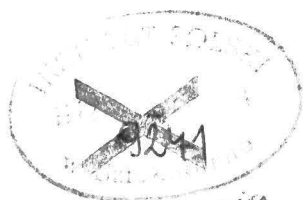
1965

Sundbybergs
Stadsbibliotek

WYBÓR WIERSZY

BIBLIOTEKA " KULTURY "

Tom CIX



549. poezja

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

Hmc.03

WACŁAW IWANIUK

WYBÓR WIERSZY

Hmc.03

Sundbybergs
Stadsbibliotek

1. ✓

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

my - ~~repeated~~
 k'ing, herathymusid idies tokoprefo
 im-palinfeske cy ninen s die u
 .mes no las
 Be de

20
 25
 u
 chr
 ej
 -drob
 To bpa 214
 d'bre
 rorkim
 22 kulta

.rehab
 un



J. Gantki

up d
 de
 hpa
 Tor
 id
 ust
 uer
 2
 hana
 (a

4.
 miruje. Nume ntuki per ab'ra
 . Meer int veibuduej ab'rukeypr
 nto. ienca d'kiso u. You Era

APRÈS LE DÉLUGE

W dzisiejszym świecie burza nawet ptaki
niewinne zmiata z ich rodzinnych tronów
I czysty gołąb gdy szybuje w niebo
Nie wie że leci na lep propagandy.
Artysta duszę oddaje za slogan
I wielkość sztuki mierzy pustym słowem.
Czas się przechyla ku ciemnościom
Księżyc ucieka od upioru ziemi
A my czekamy na nasze Araraty
Na gołębia który w rekordowym biegu
Przyniesie nam laurowy liść.

Lecz co po ocaleniu gdy uratowani
idą naprzeciw wczorajszym ciemnościom.
Gdy stojąc w sytym cieple zórz,
niewygodni — czekamy na nadejście nocy.
Nasz ogród nie ma liści, kanarek nie śpiewa
Wargi nie mogą zdobyć się na słowo.
Z workiem na grzbiecie, zamiast ocalenia
dźwigamy z sobą zabrane cmentarze.
Wolimy chaos — chociaż ład jest bliższy
Wolimy piekło — chociaż bliższe niebo.
Boga mierzymy ilością srebrników
Cybernetyką — ciężar chrześcijaństwa.
Świątynia dziś nierówna świątyni
A biblia biblii.

NIEDOMÓWIONA RZECZ

Oto moja prywatna
niedomówiona rzecz —

we mnie mieszka
na słońce czeka
i czesze deszcz —

Kobieta podpatrująca
własne ruchy
liść zawieszony
w sobie —
powietrze trzymające się
za włosy —

A wszystko widziane w lustrze
przez zamknięte oczy
z których powoli wyrastamy
całym ciałem —

Jakbyśmy byli pieczęcią drzewa
jakbyśmy spadali owocem
jakby nas rozbierano do kręgosłupa
do piorunującej nagości —

po narodzenie —

DNO

Kiedy się pisze o tym w co się wierzy
wtedy się człowiek cieszy całym ciałem
i wierszem — który w nas początek bierze
i żyje w nas rymami nabrzmiały.

Kiedy się pisze to horyzont staje
podnosi włosy pięknej zieloności —
możemy wtedy spojrzeć aż do dna
i możemy widzieć mówiących w ciemności.

I możemy wierzyć gdy taka jest wola
naszego słowa spinanego złotem —
i możemy burzyć i możemy budować
sto razy umrzeć i zmartwychwstać potem.

Kiedy się pisze tak jak pisać można
więcej niż głosem — całą mową
to nie potrzeba wtedy szukać dna
bo dno jest wszędzie jak niebo nad głową.

LEKCJA EWOLUCJI

Niosę w sobie
łagodne zwierzęta,
którym Pan Bóg odmówił
morderczych instynktów.
Teraz są jak baranki
z wielkanocną palmą,
chodzą po zastawionym stole
i błyszczą cnotami.
Skóra ich świeci
pióropuszem,
gdy wchodzi w lukrowane
gaje — i czas wypełnia
wnętrza cytr.
Tak przemienione
patrzą z przerażeniem
na mnie
jak na nieposkromione
zwierzę.

CZY MOŻNA DZIŚ BUDOWAĆ NA NIEPEWNYCH SŁOWACH

Czy można dziś budować na niepewnych słowach
jak na ruchomym piasku swoje babilony?

Ja, zapatrzony w uchodzący czas,
śledzę leniwe jaszczurki w południowym słońcu,
płaski liść mleczu w torturze kamieni
i jego owoc — gdy się w zenit wspina.
Przychodzę tutaj po rzeźbę swej twarzy,
cienką maść tlenu, po sute upały —
jakbym był częścią tego rumowiska?
Jakbym już nie miał prawa i patrzył na życie
przez najczarniejszą żałobę pamięci.

Ja, ślepy, zagubiony, z kruchą siłą słowa,
którą mi we śnie rozdziobują kruki,
i szarpia wiatry, gdy je nanizuję
na moje, świtem otwierane rzęsy —
Na ranek w który wchodzę jak w klasztorny cień,
by się przybliżyć do samego siebie.
I poprzez kryształ oczyszczony czasu,
ogładać własne porażenie.

Ptak, kiedy gra na swojej — jednej — strunie,
jest tylko ptakiem. Echem swoich ech.
Kalką przyrody czterech smutnych pór —
Słowem co siebie powtarza ponownie.
I jest jak kropla podobna do kropli.
W strukturze miasta wypalona cegła,

ze ślepych piasków; z obłąkanej gliny
w piecu tak suchym że już nic nie mówi
jego upalne wnętrze, umarłemu życiu.

Więc jeśli ptakiem nie jestem i siebie
widzę w obejściu własnym — jeśli ja,
ranię jak żądło na którym zawisło
prócz kropli jadu w ropiejących gruzach,
słowo budzące w nas żal —
gdyż tak daleko odeszło i błądzi,
i nie chce kwitnąć bluszczem łatwych zdań —
to każda ciemność, najbardziej dotkliwa,
wchłaniając — leczy, lecząc, uodparnia,
zbliża i ślepe rozdziera przestrzenie,
w których jest inny dzień i inne niebo —
i inna — syta sprawiedliwość czasu.

Kwiaty w przyrodzie odziane blaskami,
i słowo — strumień łaski.

PRZYPOWIEŚCI

Tonącemu gdy chwytał się brzytwy
Obcinano palce —

Chodzącemu z głową wysoko
Zarzucono stryczek —

Gromadzie kazano
Przemieniać się w rozjuszenie —

Widziałem ciała
Odeszłe od życia

Rowy rozmawiające
Szeptem

Niemowlęta w kropli
Śmierci —

Drzewa którym odmówiono
Wysokości.

A co się stało z tymi których nie ma?

CHORAŁ DLA POETY

pamięci Tadeusza Sułkowskiego

I

Zmiłuj się — powiedz — gdzie ta droga wiedzie ?

Na horyzoncie ziemia pali się płomieniem
Motyl zieleni w czerwonym powietrzu,
a potem ciemność za łukiem pamięci
i Ty z obolem na ustach: przemytnik
i ewangelista.

Dzisiaj, po trudzie śmierci, możesz nam już wyznać
Przybliżyć do mych uszu Twój Kraj Oddalenia.
Jak Ciebie tam przyjęli, z czym wystąpił Hades,
i czy Erynie płakały nad Tobą ?

Noc ? Ciemność niedostępna ? Upiór zapomnienia,
w które wszedłeś spokojnie, jakbyś snem się poił.
A skąd wiesz że ta Rzeka tak wolna i gęsta,
i Twój londyński mgłą zalany pokój
to właśnie to, do czego wzdychają poeci ?

Miasto gdzie przebywamy, ropiejący liszaj —
Mgłą opętany Londyn oślizgły od słoty.
O ile chciałbyś wrócić do Twych zajęć w Domu,
który dla mnie był Smutny, a dla Ciebie Żłoty —
powiedz ! Choć nie wiem ile wrót nas dzieli,

ile bezsennych nocy, ile ciemnych piekieł,
obozów-krematoriów i miast-pogorzeliisk
zgotował obu nam nasz pogański wiek?

2

Chciałbym Ciebie nasycić amuletem słowa
Chciałbym Ci nadać brzmienie Bacha.

W kraju tak cienkim jak instrument ciszy
rządzicie wspólnie: łagodność i Ty.

Jest doba dłuższa od mojej pamięci
W niej słowo świecąc, zamienia się w diament.

I Ty od Bacha przyjmujący wieczność
W swoim pokoju na Finchley...

3

Zapomnijmy — poeto — to już nie jest Grecja
Z suchą piszczałką trawy po Homerze.

Choć czasy mają luźne podobieństwo
Złożone razem — nasz wezbrał trucizną.

Źrenice z twarzy wybrali lekarze
Humanitarni czciciele Rodzaju.

Wziąłem go za rękę. Poszliśmy wzdłuż Drogi
Drobne źdźbła trawy kęsały nam stopy.

Wszak — pomyślałem — prawdziwi poeci
nie potrzebują źrenic. Patrzą całym ciałem.

Jak ruch wahadła są — by nami rządzić!

CIĄGLE SIĘ BOJĘ ZE PRZEDWCZESNA NOC

Ciągle się boję ze przedwczesna noc
obejmie mnie w południe ramieniem ciemności.
Że czas zaprze się mnie, podstawiając nogę —
Przewrócę się na promieniu i z wargą przy ziemi
będę pił, jakbyin nigdy przedtem
nie smakował dna samotności.

Otoczony zapomnianą ciszą

W miękkim baroku wzgórza i cierpliwych roślin
zapomnę o grozie ziemi.

Jej delikatność wchodzi w moje ciało

szeptem garbatych okwieconych róż

o roziskrzonych płatkach. Cierniem melancholii

rania krajobraz pinie. Ich pokręcone upałami ciała

twarze płaskie i ciemne

otacza cisza utlenionych wzgórz.

Wkoło w aureoli płonie kolumna lata

i noc swą włosiennicą upada na ziemię.

Kto z nas nie kocha tej architektury

Nie wspina się po schodach wiszących w powietrzu
które pobiela pianą bliski oddech morza?

Czyż nie lepiej dziś schronić się w ustronie wnętrza,

nakryć strąkiem kamienia, wmieszać w krzyk marmuru,

śledzić śmy — forpoczty aniołów — szalejące w gruzach —
i ruchem świętych rozkładać w żalu ręce?

Nie wierzyć nieba metalicznym ogniom

gdy wabi kwiatem i czuli się wierszem; podszyte mgłami
drży w kroplistych potach.
Poeci — patrząc — są tu jak pielgrzymi
wiedzą że ich ponownie oszukano. Boją się cnoty.

Krucze powietrze łamie się pod słowem
Kamienne fale rozsypują piasek
Winnica spada lawiną w zatokę.
I nic nie pozostało po spalonym dniu
oprócz ruin opisanych w szkolnych podręcznikach
które poeci nazywają klęską.
A uproszony wiersz choć idzie na kolanach
i nie wyjawia lecz łagodzi słowem
choćby zamienił się w anachoretę —
wierząc — wciąż będzie tu nieporozumieniem.

NA ANTYPODACH

Siedzę w milczeniu nad zamkniętym słowem.
Za oknem płowieje czas, przyroda przezielenia —
Zmieniają horyzonty.
Mam szeroko otwarte oczy, patrzę w głąb —
I czekam.
Słońce octem żłobi warstwy dnia
Noc nieskazitelna jak pustynia Gobi
Jasność wchodzi źrenicami w piasek,
za paznokcie diun, świeci gorliwie po chmurach.
A ja chodzę i czepiam się marginesów dnia.

Najpierw biłem świnie w tutejszej rzeźni
Pracowałem po pas zanurzony w parze
I czekałem na urodziwe zapalenie płuc.
Potem pielęgniarki włożyły mnie w czystość
Owinęły prześcieradłami
Karmiły penicyliną —
Sakramentem cierpliwych słów.
Czarne i białe godziny prześlizgiwały się
szparami świtów jak kameleony.
Pamięć nie zawsze zgadzała się z czasem.
Leżałem w rozłożystych snach
Strzeżony przez doktorów, syntetyczne proszki
i zawiesziste płyny, w których chemia
urabiała sobie ręce. Wszchemocne zdrowie
nie miało tu władzy.
Złote promienie jak tancerki wirowały czasem
wokół czegoś, co kiedyś tryskało życiem,

a dziś wyglądało jak wyschnięty kikut,
odcięta ręka, nieruchomy dramat.
Wiatr za oknami przesuwiał stalugi chmur
Księżyc wychodził na samotne spacery
A mnie się wydawało że ukryte wulkany
leżały we mnie oazami bólu,
na pustyni gdzie już nic się nie działo.
I że lada chwila ruszą karawany —
Czytelnicy będą płynąć na garbach wielbłądów
Dążyć pieszo przez wyschnięte diuny
Niosąc w oczach spalone osiedla
Zrabowane życie, suszę śmierci
której oni szczęśliwie zdołali uniknąć.
A za nimi przylecą dobroczynne ptaki
Rzeki otworzą swoje koryta
Góry się uplastyczną.
I nim ufne zwierzęta poznają ludzki strach
Rośliny wyjdą na ich spotkanie
Potop zieleni ucałuje glebę.

Ale do tego potrzebne jest słowo
Nad którym siedzę w milczeniu i czekam
W suchym jak ziarno piasku krajobrazie.

MOJA EPIKA

Pawłowi Mayewskiemu

I

Rano wstanę, uniosę ręce —
Czy będzie dzień?
Twarzą wpatrzoną w sen
przejdę przez strumień wody —
I co się stanie?
Otoczę siebie rękoma.
Podwoję przed lustrem.
Podtrzymam słowem
gotowym jeszcze od wczoraj —
No i cóż z tego?
Ciemne drzewa
coraz ciemniejsze
oddalone od światła
wchodzące śmiercią
w przerażone usta.
Gdzie jestem — mówię
gdzie jestem
gdy jestem wśród was?
Drzewa odchodzące
w suchym śnie
wyjęte z kotła powietrza —
Moja dramatyczna iluminacja życia.

II

Mieszka we mnie
twardość czekania

nieprzejednana trwoga
nurtująca zmysły.
Mięśnie wpatrzona w czas
napięte pod skórą —
oczy cofnięte
w nadchodzące słowo
którego jeszcze nie ma.
Wszystko we mnie
zwarne w dynamit
czeka.
Nie wiem czy kiedyś
potrafię wprowadzić was
w mój przekrwawiony system.

III

Jestem Pustelnikiem
unoszę zasłony
zacieram twarz.
Ten świat jest zbyt przejrzysty
brudny jego worek
przecieka krwią.
To co widziały oczy
dotknęły i ręce
stopami doświadczyłem
największych zniewag.
Od jutra grubi księża
poławiacze Boga
wybiorą z worka tłustymi rękoma
moje powszednie ukochane grzechy.
Pękate ziarna pszczoł
uniosą siebie w przeźroczyść —
odmawiając nieszpory
w słodkich lipach.

Ale nas — ale ciebie i mnie
tam nie będzie.

IV

Wieczór jest trwalszym oblubieńcem słowa
choć chłód dotyka i kość stygnie w sobie.

To dla poety pora pełna wzruszeń —
polerowania słowa diamentem pokory
szukania ciszy, dobierania westchnień
wdziewania czasów na siebie.

Różga Salomona

przy mnie i trwoga jego.

Jestem jak drzewo oczyszczone z liści
łowiące w maju bure chrząszcze.
Gdy dzień skrzelami rosy spotykał się z nocą
wkoło pękały rześiste kasztany
sute promienie śpiewały hymn słońca
w renesansowych łukach —
chrząszcz o twardych skrzydłach
padał pod nogi. Jego tłuste ciało
pękało głośno nadeptane stopą.

Po nim
przejdą spokojnie gwiazdy-izraelici
niosąc w ucieczce pogaszone słowa.
Mojżesz wiary odwrócił się od nich
a teraz idą na oślep. Stopy ich
pali gorący rozżarzony piasek. Ich lęk
jest moim lękiem niesionym po gruzach
rozbitych tablic.

Natura we mnie dojrzeła zbyt wolno
jakbym był górą na grzbiecie wulkanu
lub nosił kozuch ślepego milczenia
w pustym powietrzu, gdzie łyse planety
dosłownym ruchem powtarzają siebie
krążąc dokoła ziemi. Jej trwałe element
jest jak kamienny pierwowzór. Nie pęknie.
Bo jak rozłupać to, co nas przewyższa?
Jest cała słońcem, bo jest poza słońcem.

V

Codzienna oda wnoszenia umarłych —
jeden po drugim. Zdejmują im buty.
Z ubrań jak z łupin wyrzucają ciała.
Głowy u nóg mych żarzą się włosami.
Patrzę w kobiece twarze, są zamknięte w sobie.

Nogi nagie, kościste, wychudzone głodem
Zdjęte buty odchodzą na stos.

Widziałem stary wynoszony rzemień
wykoślawiony o zdartych obcasach.
Každy trzewik był brudny po szyję.
Damskie z cholewkami zwisały jak skrzydła.

Kobietom wyłuskiwano z rąk tanie ozdoby.
Pozłacane obrączki brano wraz z palcami.
Zegarki zdejmowano przez odcięty przegub.
Tylko buty musiano zrywać z nóg.
Wynoszony czas sprawił
że przyrosły podeszwą do stopy
i trzeba było dopiero użyć siły
by ją wyłuskać z rzemiennego strąka.
Widziałem. Dokumentem żrenic sprawdziłem tę scenę.
Żołnierz śledził wahadła rąk. Jastrzębi lot buta
i jego jałowy upadek w trupiarnię —
lustro naszej epoki.

Zdziwieni spójrzymy na gwałty natury —
czyżby drapieżność ludzkiego umysłu
sięgała dalej niż śmierć? Pomyśl
ile palących jeszcze na mnie wrzodów
natura nie zagoiła. Ile otwartych ran.
Ręce moje w liszajach sinych po dziś dzień
nie mogą tknąć się życia.
Nosily przecież śmierć.

VI

...Apollo

znajomy z cywila
rzucał wtedy wspaniale dyskiem na miejskich zawodach
dzisiaj jak akuszer produkuje tłuszcz.
Właśnie bawił się dzieckiem gdy matkę
wepchnięto Tam —
a potem znudzony
nadział dziecko na świecący rożen.
— Pierś jego medalami błyszcząca i młodością —
— zielonym miastem, rzeczką —
— naszym szkolnym Styksem. —

Dziecko przestało skowytąć zupełnie.
Martwe nie sfrunie w ramiona.
— Tak, tamten dysk świecił —
— łupał promienie przyćmiewał słońce. —
— Sportowcy o długich ciałach z wiotkiej plasteliny —
— marzyli o Olimpiadzie. On —
— gdy brał poprzeczkę —
— był jak Apollo lecący w powietrzu. —
— A i teraz umie dawnym ruchem
zamienić się w dyskobola.

VII

Dziś w domu moim
czas zamknął drzwi

W oknach
wiszą pluszowe zasłony w egzotyczne kwiaty
— grube — bo był to dom przemysłowca z Łodzi
a jego żona rasowa Żydówka
kochała secesyjną sztukę: kwiaty Wyspiańskiego
i wiersze Młodej Polski. Cały dom
przeładowany jest do dziś barokiem.
Przejęliśmy go, nie zmieniając
Tyle tylko że obok cynobrowych kotar
postawiłem małe żółtokostne biurko
z szufladami na listy z kraju

Nad głową
wisi kopuła złotej lampy
a poniżej na skrzydle biurka
stoi maszyna do pisania Corona.

Na niej
dotykając liter szypułkami palców
powtarzam ostrożnie słowa
zesłane na kwarantannę.

Wierzcie mi
gdy usiądę sam w pluszowym kącie
wiem — czas mnie prześciga
a ja go podchodzę jak osa.
Noszę w sobie czujną jeszcze pamięć
wyostrzony wzrok i żądło słowa

które nim dotknie innych
przebija mnie swoim oschłym bólem.
Jestem wtedy potrójnie sobą
napełniony po gardło czasem —
odłożony na przyszłość.

Tak —

Czas okrutnie nas niszczy. Poezja
zamknęła swoje usta. Jest niema
po paraliżu wojny.

Najpierw

zdarto z jej twarzy sztuczne rzęsy rymów
potem peruki wschodów i zachodów słońca.
Księżyc. Słowiki. Epoka Byronów
zawisła na drutach. Dziś
u końca zamkniętej drogi
po spaleniu Sodomy
jest jak ciało
zahartowane w piecu. Gdy we mnie
ocalał promień drzewa
i wiem że przez spalone ciało
przebija się liść. Zapowiedź odrodzenia.

U was

od dantejskich podszeptów dygoce ulica
gołoledź strachu na wargach
którym pęcznieją w nocy wasze sny.
Słyszę w domach głosy budzonych
płacz na klatkach schodowych otwierane drzwi
i turkot odjeżdżających policyjnych wozów.

Ja przeżyłem kamienny czas
jest jeszcze we mnie siła
do powiedzenia — tak lub nie.
Choć potem wyprowadzą mnie w nocy
każą wyskakiwać oknem
lub zamkną w domu wariatów.

VIII

Patrioci piszą do nas z Rzymu:
Polska się roi od wariatów —
a my? — Gdzie Rzym, gdzie Krym!
Doktor przypisał nam ciepły Adriatyk.

Umywamy genialne ręce.
Nasze palce lepią historię.
Cóż jeden wariat więcej?
Sam się zabił! Zapomnij!

Przaśnicy trudnej mowy
żyją — błogosławiąc urodzajne lata.
Oni rozgryzają tajemnicę słowa
i nic nie wiedzą o 'wariatach'.

IX

I to się dzieje w kraju gdzie otwarte są jeszcze
kościóły i synagogi, gdzie dzieci
idąc do szkoły — rano — całują rodziców.
W szkole na ścianach wiszą portrety bohaterów.
Dzieci śpiewają pieśni, mówią wiersze.
Gdzie się czeka na wydanie Norwida —
gdzie naród obchodzi święto Mickiewicza,
prześwietla materię, łupie atom.
Gdzie poeci konsumują wizje
rozszczepiają marzenia
podstuchują słowa.

I to się dzieje w kraju gdzie młodzież
podróżuje do Stolicy na zawody sportowe
zwiedza muzea, oddycha historią
słucha gotyckiej trąbki...

Ale o pół tonu obniżono głos
ludzie żyją szeptem, nie patrzą sobie w oczy —
wysyłają listy, czekają na paczki.
W nocy budzą się by zamknąć drzwi na klucz.
Nasłuchują. Piszą donosy.
Wchodzą do sypialni gdzie żona, konfesjonał wiary
siedzi w łóżku i czesze twarz płaczem.

X

Rano wstanę, uniosę ręce —
Czy będzie dzień?
Twarzą wpatrzoną w sen

przejdę przez strumień wody —
I co się stanie?
Otoczę siebie rękoma.
Podwoję przed lustrem.
Podtrzymam słowem
gotowym jeszcze od wczoraj—
No i cóż z tego?
Ciemne drzewa
coraz ciemniejsze
oddalone od światła
wchodzące śmiercią
w przerażone usta.
Gdzie jestem — mówię
gdzie jestem
gdy jestem wśród was?
Drzewa odchodzące
w suchym śnie
wyjęte z kotła powietrza —
Moja dramatyczna iluminacja życia.

PRZEZ IGIELNE UCHO

Widzę jeszcze góry skaliste spiętrzone w żółte bryły
po górach kroczą wielbłądy, mają skrzydła garbów na
[grzbietach
wchodzą w niedomknięte sezamy chmur bladowełnistych
jak w zielony las —
Z drobnych światel w powietrzu ułożę ruchomy zielnik
pór roku — które pękając zapadną się w skrzela jarów.
Ziemia pozostanie podziobana grobami
moje ręce w rękawiczkach kory
zmiele ogień jutrzejszym wiatrom na uciechę —

Śledzę gwiazdy z takim napięciem
jakby to były oczy dojrzałe do zgonu
wiszące na wielkich cytrynowych pniach —
Do nich prowadzą schody w górę i schody w dół
nie ma wcale drabin opartych o zenit
ani Jakuba ni drobnych szympansów
zwieszonych na własnych ogonach jak ciężkie owoce.
Jest tylko noc
i wielbłąd przeciskający się
przez igielne ucho.

CYRK

Jałowa czystość
Dom z czerwonej cegły
Wchodzę z ulicy w napięcie wieczności
Trywialny jeszcze
W codzienność ubrany.
Wkoło czerwone wargi schodów
Polakierowane kolorami twarzy
I nieruchome ciało w orzechowej trumnie.

Jest bardzo czysto
Czyściec pozazdrości
Lamp elektrycznych
O obłych wypiekach
Dokoła stoją cherubiny kwiatów
I nawet róże o sztywnych karkach
Pochyliły głowy
Przed spektaklem śmierci.

Nikt tu nie płacze
Nikt nie rozpacza
Trup w jaskrawej pościeli
Rży gamą kolorów
Ludzie po nitce ciszy
Wchodzą i wychodzą
Przypadkowi przechodnie
Rodzina znajomi.

— Tak jakby spał —
— Wygląda jak żywy —

— Czy miał łagodną śmierć —
— Nie męczył się wcale —
— Owszem — została żona
I rodzina w kraju —
— Koledy wszystko załatwią —
— Biedaczka — jak ona to zniesie —
— Dużo jest mężczyzn wkoło. —

Otoczenie chodzi na palcach
Cisza niepokalana przylega do stóp
Głucha czystość
Jałowa czystość —
Cyrk.

WYSPA

Do Wyspy dobijało się łodzią
wyłupaną z brzozonej kory
a ja nie miałem wioseł.
Mulista płaska rzeka — Ganges Europy
wypływała z mgły. Kwadratowe zegary
wybijały godziny. Gołębim w przelocie
opadały skrzydła. Był mrok
Szeptano wkoło —
głosy ślizgając się
dobiegały do mnie
po cienkich płatkach dżdżu
wsiąkającego w gruz
wśród nieruchomych rozrzuconych ciał.
A ja nie miałem własnych źrenic
aby na to patrzeć.
Skrzypiały sterty podnoszonych mostów —
pod nimi trupy statków
wiozły mokry ziab.
W kapitańskim białym mundurze
Conrad stał na dziobie
wśród grubych mokrych lin
i celnym ruchem jak Szekspir
wiązał mistrzowskie węzły
których nie mogłem zrozumieć.
Na taczkach płynęła wioząc pleśń
gruba spizowa mgła —

W ciszy wybuchały syreny
wrzask instrumentów wojennych

rozsadzał powietrze.
Nadlatywały metalowe ptaki
wybuchał płomień
paliła się woda.
Węże z sykiem otwierały paszcze
połykając ogień.

Zgniłe liście powietrza
wilgotniały
policzkując z purytańską dokładnością
nas którzyśmy przyšli
by ratować Wyspę.

OCALENIE

W ukropie drutów
czyhają na mnie
wapienne rowy —
Ludzkie twarze
w potopie własnego istnienia
wypełnione po brzegi milczeniem.
Stąd już się nikt nie wyczołga.
Nawet anioły gdy lecą
to lecą na oślep w dół.

Kolosalnie małe
robocze mrówki
wchodzą w sklepienia ciała
drzwiami —
przez pory w skórze.
Ich drobne stopy
huczą echem
w okrągłych jaskiniach mózgu.

I jest drzewo
obrabowane z cienia —
Stopy bez ciała
Horyzont
bez pejzażu.

I ślepe twarze
wdeptane w ocalenie.

TAJEMNICA

Jakaż to nadzieja przyszła do mnie, by mnie wypłoszyć
[z mego mrowiska,
by mnie wydać na pastwę pobieżnych dmuchawców,
[huśtających się na niebie chmur,
godzin zmieniających skórę dnia, salamander — świecących
[gwiazd.
Wszystko naraz zmieniło się w okrągłą kulę gładkiego
[szczęścia
i bez słów, bez zamazanych i tkliwych samogłosek, bez
[pawich krzyków i uniesień,
usłyszałem tętno własnego serca, biegnące do gardła jak
[palce pianisty.
Zrozumiałem że odnalazłem w roślinie jej kręgosłup i sieć
[zmysłowego zapachu,
z którego wychodzi kwiat na macierzyński spacer życia —
dotknąłem źródła wielu spraw, umiejętnie prześlizgujących
[się wśród ludzkich źrenic,
unikając ich zmysłów o szorstkim dotyku, którymi chcieli
[by zmierzyć
finezję uśmiechu, nieśmiałość pocałunku, ruch rąk
[biegnących na spotkanie.
Nauczyłem się mówić, nie targając echa i nie budząc
[uśpionych strun,
bez pomocy wszędobylskich warg, zdań sypiących gęstym
[urodzajem,
mądrych i dostojnych jak królewskie groby, nakryte
[kopułami gotyckich wież
Nauczyłem się mówić.....

Ale tej tajemnicy nikomu nie wyjawię.

AKT

Nie lamentuję, szukam tętna ziemi
Zawieram ciche pakty z roślinami
i tylko w porze niedojrzałej,
gdy wiosna im zawraca głowy
i życie ostrzem w gardle stoi.
Potem gdy mądrość przemieni się w owoc,
pękną wulkany suchej kory —
życie jak łza uwolni się z rzęs.
Upadną liście, susza je zagłodzi,
owoce kruki i wrony rozdziobią.
I taki będzie koniec uniesienia —
Jak akt wyrwany z królewskiego życia.

OTO TU JESTEM JAK PASTERZ BEZ TRZODY

Oto tu jestem jak pasterz bez trzody
Wierni odeszli, obłok nakrył drogę
Powietrze woła, słyszę jego głos.
Echo pamięta ogień, ma smak spalenizny.
Więc co mam robić, gdy mnie ślepa noc
toczy, odziana w granitowe płaszcze
i dręczy suchy uśmiech Boga?
Czas mnie dotyka urodzajną dłonią
Ruchem wahadła które się nie śpieszy
A ja jak drzewo z innej niż nasza planety
półzakochany, stąпам po obłokach
i szukam zapomnianych twarzy.

W niebie cierpliwie zawieszony anioł
czeka na żer jak błyskawica
gdy mnie bezwzględna toczy noc.
Do kogo ciemność ta należy
co szarpiąc usta, szarpie moje serce?
Ty sytą togą przyodziany
w cieniu pachnących dobrych dni
przetrawsz, jak wiemy, głód wielu pokoleń.
Wkoło śródziemnomorska łagodność klimatu
Kamień powagi łacińskiej i słońce
pracowicie rozlewa złoto w pomarańcze
i mięsiste oliwki ponagla do plonu.

Stałem oko w oko z moją wizją wnętrza:
Ciemność, słońce zostało w kraju za drutami

Ciało jego rozdmuchały wiatry
Noc okrągłą framugą zagradza mi drogę.
Z horyzontu dochodzi krzyk pędzonych chmur
Huk łupanego nieba i charczenie wiatru,
Tak jakby dziecko chciało tęym nożem
przeciąć kociego gardła żywe mięśnie.

Mierząc, trudno mi odcyfrować czas
I nawet palce uzbrojone w nerwy
nie mogą zrozumieć dzisiejszych perspektyw?
Furii ciemności pod nogami
która sam nie wiem skąd się we mnie bierze?
Dlaczego zmysły opuściły ciało
Zanim zdążyłem pojąć otoczenie?
Połapać w czasie, zrozumieć naturę,
zbliżyć do ludzi? Ja, zamknięty w sobie,
Martwy — przechodzić będę z rąk do rąk
I tylko może jeszcze mnie ocalić
szara, zdyszana mowa codzienności.

2

Ileż to razy oszukany wiosną
zakwitałem przedwcześnie, kiedy mordowani
ginąc wołali o ratunek?
Ileż to razy cieszyłem się nocą
Gdy nieprzyjaciel kończył dobijanie żywych
i ogień — niszcząc — udzielał ostatnich sakramentów?
Ileż to razy całowana ręka
okazała się potem dłonią ludobójcy!

3

Brewiarz w mocnej oprawie ze skóry i z kłamrą
Trwałe słowa modlitwy; wchodzę w głąb klasztoru
Na zboczach ścian witraże w oszczepach promieni
Po bokach stalle wyciosane w mroku
Stare konfesjonały z pluszowym powietrzem
Obrazy świętych w grubych złotych ramach
i kolorowe pawie feretronów. Myślę,
że jednak ciężka jest dłoń chrześcijaństwa
choć cienki sandał na stopie kapłana.
Słowo czerpane z mszału jest jak miód w pełnym ulu
dla pilnujących chrystusowych barci.

DIALOG NA JEDEN GŁOS

— Noc w sztywnych kołnierzach drzew
Żyję w niej i pamiętam o tym. —

Ja, pełny bolesnego ciała
o skórze twardej jak orzech
Gwiazdy nad głową z ognia —
oczy moich świętych,
i Charon wiatru powoli przemija.
Gdzie jestem — pytam się? Gdzie?
Jaka półkula pod moimi stopami—
i człowiek?

Czerwonoskórzy jak gromnice z wosku,
okopceni, z czarnymi włosami,
idą ulicą. Ich książęce stopy
płaskie są. Nadzy lecz dostojni
niosą trzciny swoich kręgosłupów,
wiotsze od naszych cywilizowanych trzcin.
I ja wśród nich, nie w Rzymie,
nie tam gdzie się pawiem
mszały iluminowane pałą.
Nie przy stole z winem — nad Rzeką.
Choć widzę ludzi wchodzących po pas i infułę
pięciu palców nad nimi, podnoszących Boga
w jednej kropli. Gdy dla mnie po latach
jest już ona jak skała. Tak, kropla ta świeci
bardziej od koron książąt.

Tam w Rzymie
zobaczyłem raz jeszcze ludzi podobnych do mnie
pożerających siebie jak pijawki.
Przyczepieni do brudnego Tybru
jak Semici kupczący na schodach świątyń.
Jakiż chaos nieba i ziemi. Ludzi i aniołów.
I ja wśród nich — niestety —
choć w istocie mnie nie ma.

Jestem przecież już po tej stronie
gdzie wszystko jeszcze w strąku.
Starzy i młodzi; kupcy i drwale.
Mądrość którą tu zdobywamy, jest nowa —
I o niej piszę. Do was!

Oni tu na mnie patrzą dziurami swoich źrenic
Gdy mówię — nie widzą mnie i nie słyszą.
Są jak słup soli. A kiedy skończę,
Odchodzą — czerwone żony Lota.

Oni jeszcze
palą pierścienie ognisk, odkrywają ścieżki —
Ich dzieci jak nagie ptaki noszą w czaszkach pióra.
Po rzece szeroko zbudowanej i mocnej
dziś jeszcze lecą igły indiańskich kajaków
unosząc płaskie twarze, nieruchome oczy
wpatrzone we mnie. A w strefie północnej
dymią biwaki. Więc czym jest moja rzeka
przy ich świętej rzece —
I moja skóra barbarzyńcy?
Czym gotycka katedra mojego Jordanu?

Wiem, moja matka
wierzyła bardzo, a dziś trudno zgadnąć
czy się opłacił jej trud? Jej ostra sylwetka
jak stalaktyt przecina powietrze — i jest
sprzymierzona z promieniem. Jej gotycka głowa
pełna pamięci, uśmiechów i westchnień —
Ciągłe ją widzę w słońcu — umarłą i żywą —
Gdy wierszem rozmawiam z nią, natura
ucieka od nas przerażona.

W Rzymie wyczytałem stary religijny slogan —
Bóg nierówny Bogu
A człowiek o skórze jak tęcza—
Nie rozumie.

KONCERT

— Już tak zostanę z tym zmęczeniem w sobie —

Tu, nad morzem, w leniwym świetle słońca
jak jaszczurka wśród gęstych kamieni.
Domki z wargami w wodzie — to ciche miasteczko —
Słyszę pośpieszne kroki zakochanych
które się kończą w rozpalonym piachu.
Na falach leżą kariatydy z brązu
w kolorowych kostiumach. Przez męskie trykoty
przebijają pielęgnowane mięśnie
i elastyczny włos.

Powietrze gra na upał.

Dzieci jak mrówki o wydętych brzuchach
bawią się w piasku —
Ich chwiejne ruchy śledzi czas —
A wkoło parasole, epidemia płócien
Cień szukający chłodu.

Czasem oczy zawieje piasek.

Morze świeci na szczycie wachlarzami piany
Korzenie jej jak okrętowe liny
wyrastają z dna, gdzie drzewo wody
olśniewające — bierze swój początek.

Przyziemne kraby chowają głowy w piasek
Nad nimi biegną fale z motyką na słońce.

Jest bunt —
a potem pokorny odpływ morza.

2

Wiktoriańska orkiestra w niebieskich mundurach
obsiadła muszlę. Starość bezzębna
gra nieszczelne walce.
Od fałszu przymrużam oczy, zapatrzony
w złote wiktoriańskie sznury
na piersiach staruszków.

— Już tak zostanę z tym zmęczeniem w sobie —

O NARASTANIU ŻYCIA

Wchodząc w delikatność źdźbła
przypomniało mi się, że nie wolno się śpieszyć.
Podważyłem wielką cebulę róży
i zajrzałem w nią, jak z serca jej
ciekły w korzenie litry miodu.
Czaple zielonych sałat
rozłożyłem na szerokie spadochrony
których życie topniało w miarę braku słońca —
a potem był kręgosłup i szpik chropowaty.
W sadzie owocowanie było w pełni, ale ja
nie mogłem pojąć powstawania śliw
na matowościach.
Agresty jak piskłeta były w puchu
a wiśniom do drobnych ust przyrastały korzonki.

Z ogrodu który nie był duży ani mały
wszedłem w martwą palisadę dróg —
ale i tego nie mogłem pojąć.

Widziałem miasteczko
utopione w błocie
z deszczem za pazuchą
i skrzydłami u ramion.

Nie mogłem przywołać sadu —
Został dom
z fortepianami furgonów w podwórzu
ciężkonogie fornalki

i surrealistyczne kopice siana
na grzywach wieczoru.

Opodal stał bezużyteczny żuraw cudotwórca
małe dzieci bawiły się korzonkami roślin.
na samotnych placach wśród spasionych szczurów.
Przyzwyczajony do magii proroków
widziałem w niebie strome butelki szampana
które Degas ubierał w pudrowe sukienki
w safianowe trzewiki z perłą
i puszczał w ruch szpulę ciała
tak by wszyscy widzieli pastelowe piękno
tancerek smuklejszych od Etny.

Słyszałem gwar świerszczy
kosmate ciała pajaków biegły cichym truchtem
liszki opalały się, nie dbając o porę dnia.
Między niebem a ziemią stała brama nocy —
i do zmartwychwstania było daleko.

Raz zagranicą zobaczyłem dom
całe miasto milczących budowli
w każdym z nich była mała kopalnia języków.
O rzut słowa —
łśnił port z suchym polanem Oceanu —
w powietrzu skakały latające ryby
na mokrej plaży ludzka rzeźnia
leżała na starych gazetach.
Tędy czasami przechodził Matisse
i spłaszczał ciała kolorowym gwaszem —
a za nim koty o sztywnych ogonach
wyrzucone na śmietnik lub sykstyńskie owce.
Matisse idąc dotykał wszystkich gorącym żelazkiem
i spłaszczonych przenosił w olej
gdzie do dziś stoją — nago i przejrzyście —
i nie ma mowy o powrocie
w ramiona kukieł holenderskich. Matisse idąc
klepał kobiety po nagich pośladkach
i szeptał prosto w uśmiechnięte usta —
żyjemy dziś nieskończonością.

Grono turystów
schodziło spiralnymi schodami na ulicę.
Był tłok. Mechaniczne pojazdy

grzęzły w asfalcie. W knajpach
podawano wódkę. Przewiew postaci w drzwiach
chrzęst lodu, cisza sodowej wody
i ciepłe spojrzenie we własny kieliszek.
Kolorowe kobiety tęcze
prowadzą na smyczy czworonożne ptactwo.
Biały marynarz znieruchomiał i czeka.

Potem na końcu drogi spotkałem Picassa
przeżyłem anatomię trzeciego Oka
podpatrując Opatrzność.

PRZYKŁAD NA PERPETUUM MOBILE

Był zegarmistrzem
bawił się tarczą
nastawiał słońce.
Za plecami
z tyłu zegara
leżała ciemność.
Łódź czasu
wezbrana po brzegi
płynęła
o własnych wiosłach.
Od zenitu
do zenitu
w górę —
dwanaście godzin.
I od zenitu
do zenitu
w dół —
dwanaście przeciwnych
godzin.
Jedna łódź
popychana wolno
irytującym wiosłem
wskazówek.

Był długim cyrklem
miał głos syreny
smakował jak granat
z jabłoni.

Objuczony kadzidłem
siana
miał dwa złote
skrzydła.
A jednak był tylko
łodzią
do pilnowania pór
przewożenia ludzi —
klasycznym przykładem na
perpetuum mobile.

STENOGRAM DO POEMATU

...pijąc krew. Lakoniczni starcy
o siwych włosach jak Arystoteles
po śniadaniu w pensjonacie nad morzem
drobnymi krokami dobiegali do mety.

Ja miałem pokój okrągły jak kula
kopuły nad kościołem świętego Piotra w Rzymie
Szło się schodami i nie było drzwi
a tylko trampolina ruchu. Balustrada
z białych gołębi w powietrzu
dopełniała pejzażu.

Oni czytali watowane historie o świętych
wiedząc że nikt nie jest panem słów
pracowali samotnie jak pająki
zastawiając sidła. Pensjonat nad morzem
był jak zimny kokon
gdy go dobiegał odludny księżyc —
Ja po szczeblach wspinałem się w górę
ponad kurz
wlepiąłem oczy w tytuły bibliotek
skłonny literom przypinać korony
podkładać szkarłat pamięci
słowom pod nogi. Tak to było w Rzymie
pamiętam jeszcze szept konfesjonału
trzepot gołębi i fontannę
Wiecznego Cesarstwa.

Kiedy wyszedłem z biblioteki tego dnia
widziałem jeszcze książki ułożone w górę
a każda miała złoty grzbiet zachodu
i szarą w głębi zawartość papieru. Był zmierzch
promienie mnisiem ruchem opuściły głowy
tylko spóźniony gołąb białym wiosłem
przedzierał się przez rude wieczorne powietrze.

DANTE NA DZISIAJ

To nie jest anioł, ten kto mnie goni,
a jeśli anioł to ma inny kształt.
Poznałbym jego bieg po trzasku suchym
bo przelatując, łamałby powietrze.

To nie jest niebo, to co garść zenitu
trzyma za włosy w kształcie czaszki.
Wstępuję w nie własnymi wargami
ale nie czuję smaku pieśczonej świętości.

To nie jest moja gruda ziemi
gdzie w brzdach leżą głowy Cyceronów.
Milczą — nic mową nie wskórały.
Niech sobie leżą, pies im mordę lizał.

A ja? Kto poznałby mnie jeszcze
ślepego, po potopie komór?
Dante się śpieszy zstępując w swą otchłań
jakby otwierał drzwi mojego domu.

PTAKI

Jesienne ptaki niosąc na skrzydłach niebo
wołają do mnie: Wracajmy do domu!
Pogoda wkoło jest słodsza od brzoskwiń
Świty pękają ciepłą strugą
Wrześniowe słońce spręża gorejące ognie
i chmury leżą jak obłe giganty.

Niebo czeka na przelot! Ustawione w sobie
jak do parady, uprzętnęło drogi.
Bluszcze bławaty wstążkami się pienia
i świecą lampy upięte nad głową.
Drobne na ziemi chorągiewki jezior
są jak drogowskazy
dla przelatujących nad głowami rot.

Scylla, Charybda — nie wierzymy potworom!

Orszak prowadzi herold długoszy —
Piękna purpura opina mu stopy.
A za nim podążają idealnym rombem
pary weselne. Ich białe welony
mówią że od północnych zatok jak tlen czystych
łabędzie pierwsze wyruszyły w drogę.

Ich kraj na pewno zapada już w sen
choć u nas ziemia paruje żniwami
ogród wybucha urodzajnym żarem
i ognie kwiatów nie pogasły jeszcze.

Żal więc że w nocy pruje nasze sny
lament pielgrzymów, że nas budzi
przewidująca i trzeźwa ich pamięć.
Może więc lepiej zacząć się pakować
i być gotowym, bo nikt nie wie kiedy
wyrwie nas ze snu okrzyk —
Wracajmy do domu!

OBRONA ZIEMI

Suchy liryk schodzi z papieru —
koliber składa skrzydła i gaśnie w promieniu
garść popiołu zdmuchnęły usta
spada na mnie mój głuchy wiek
podróżuję z głosami śmierci.
Tyle było — tak mało zostało —
tylko ziemi okrągły krater
suchy liryk odarty z ciała
i ja na niej z pamięcią-lawą
schodzę w siebie, klękam na kolana.
A ktokolwiek przyjdzie
ktokolwiek przy mnie stanie
podam mu moje lustro
własną moją pamięć.



Trawy grożą powietrzu —
kto je w ziemi uwięził
by się nie wysmyknęły?
Kto nas trzyma za stopy
daje tlen i chleb ustom
dolewa krwi i poucza
serce by nie krwawiło?
Kto wypełnia źrenice
pokarmem snów w palmie nocy
kto mówi półsłowami
o stopniowaniu ciszy?

Kto ulatnia gołębie
recytuje w klatce
wiersze więzienne?

Kto?



Przyroda we mnie błogosławi żywych
i śmierć umarłych którzy z nią się łączą —
przez gruby łubin barchanem podpięty
śluckie koronki świętojańskich groszków
muszle koniczyn nagrane owadami.
Wartość jej chwali pszczoła robotnica
konie o świcie parszające zdrowiem
i ci co czujnie doglądają pasiek.



Nie wiem dlaczego lecz wierzę owadom —
ich ciężkie zuchwy są jak błyskawice
w ruchu. Owady streszczają ból ziemi.
Wierzę Dawidom idącym na śmierć —
słowu co samo oczyszcza się z liter
dotknięte chłonną wargą życia.



Podobna do nas, prześcignąć chce czas —
Jej rozhukane stopy nie budzą uśpionych.
Tak się liliput rzuca na goliata
i drobne krople na rzymskie posągi.
Rzeźbiarz nie mógłby ująć, nie rozumie
jej kształtu
który w oczach budzi rzutu jąca wieczność.

A taka cicha jest jak kret pod ziemią —
młode baranki, zielonomorska piana —
czasem co nigdy nie może się skończyć
gdy dla nas kończy się w skoszonym sianie.

Więc chyba tylko w barbarzyńskim tłoku
pni porąbanych i w stłoczonym gąszczu
desek w tartakach, opiłków i trocin —

w dzikiej przyrodzie hołdującej czarom
trawa dosięga nas, jest jak moździerz słowa.
Żdźbło chrześcijaństwa zasłuchane w wieczność.



Zorze nad nami
rozpalone bicze
stoją w husarskiej
kolumnie
i milczą
Wieczór je gasi
a zapala świt
jak błyskawice
lub lampki oliwne —
i czas —
niemy życia piastun.



Okrągłe rosy huczą cichością bębenków,
szelstem skrzydeł wzbierają owady
i trawy garbią się pod sytym krokiem.
Idę i jasnym instrumentem słowa
otwieram wnętrza. Tryskają promienie
i wiersz się budzi — pamięć dobrego i złego.

Tak broniąc ziemi, bronię własnych słów!



Okradli mnie z jesieni!
Nie będzie już babiego lata
jego postulatu
chłodnego powietrza.
Będzie za to
niedopalonych roślin epitafium —
lustro wspomnień, puls skroni,
prorok z odciętą dłonią —
mój wiersz cichy jak ogar
żyjący węchem
na opak.



Dlaczego chodzisz
z rozplecionym włosom —
o wierzbo ciepła
siostró nazaretańska
zielonokoronkowa
jak szal mojej matki —
łabędzim skrzydłem
dotykając ziemi?
Dlaczego chodzisz —
czego szukasz
za widnokrzęciem
moich oczu? I śledzisz
ptasich ust zdumienie?
Wierzbo ubrana w upał słońca
zamknięta własnym szeptem w sobie —
czemu zaglądasz w moje oczy
i czekasz na otarcie łez.



Tak jakbym przebił siebie włócznią
i z krwi co spływa poprzez palce
lepił jej twardy wyraz twarzy.
Szyszko drewniana nieprzystępna
zamknięta w sobie jak sarkofag.
Nie wiem dlaczego tak cię kocha
poetka Bohdanowiczowa?
Mówiąc o tobie łzy ma w oczach
i różą lasów cię nazywa.
Nosi cię zamiast złotej broszki
jak ryngraf wywieziony z Polski
na swojej piersi. Leśny owoc
a może ostrobramskie słowo.



Emancypantka
sufrażystka —
jak ją porównać z lalką Prusa
lub z Don Kichotem —
Konopnicką?
Jest tylko zwykłą czarną wroną
zapracowaną —
wstaje o świcie

jak ja, bo żyje z pracy rąk
od poniedziałku aż do piątku.
Nie lubi wyszukanych potraw
menu spartańskie ma i zdrowe —
jedna dżdżownica na surowo.



Las się żali — nie będzie mnie.
Drzewa mówią — chyba zginiemy.
Samotne liście idą naprzeciw
jesieni.

Huczą w nocy nieprzyjazne sowy
na czubie drzewa wisi księżyc biały.
Już na mnie jego nicowany złotogłów
nie działa.



Z mego cierniowca
z mego jałowca
z rozpiętej przy drodze tarniny
wśród której ścieżka się przedzie —
życie
życie
nigdzie
i wszędzie.



Trzciny
gotyckie głosy
przepisane z serca.
Trzciny
słowa Mojżesza
gdy rozmawia z Bogiem.

Bagna odeszły suchymi stopami —
nastaną teraz karłowate sosny.
Nie ma nadziei by się odrodziły
zielonym z ziemi płomieniem wyrosły —
Nie ma nadziei na wyjście!



Sercem z serca przepisać
uchem z ucha usłyszeć
wargą brać i oczyszczać
dla wargi która czeka
na wypalone lasy
na wysuszone stawy
na nieprzebyte drogi
na domy w gruzach —
na progi.



Pomówmy o kwiatach —
wychodzą z ziemi
i zapadają w serce.
Gęstokolorowe
przesadnie pachnące
nieprzytomnie piękne.
Moje oczy
i moje wargi
przyjmują je
jak człowiek
przyjmuje człowieka —
lub coś daleko więcej.



Oto są moje krajobrazy
zniżone do powierzchni ziemi.
Chciałem powiedzieć że nie ma już nieba
jest tylko noc
i jej cień
Ale niebo jest i świeci
tylko tego nie widzą ślepi.
Myślałem kiedyś że już we mnie zgasła
zmysłów lampa —
że natura mnie opuściła.
Lecz wczoraj spotkałem ją znowu —
Są teraz we mnie fioletowe fryzje
zupełnie jak nasze kąkole
ale trochę inne
i mniejsze o głowę.
Przy nich drobne
żukom podobne

(a może i nie podobne)
malacoides nadobne.
Dalej —
średniego wzrostu
abcornica —
o większej od innych twarzy —
patrzy i marzy.

Na cienkich strózkach-nózkach
prymula się wspina —
jest pełna żalu
i inna —
prawie że w oczach znika
prymula abcornica.

Oto wytworne tropikalne
rododendrony
i zamyślane azalie.
Hiacynt — dymiący stożek
Ślasy — łzy Matki Bożej
Groszek — mika w kraterze nieba.
Schizantusy wyższe o głowę
o liściach podobnych do kminka
azalii ubogie kuzynki.

Róże — kolory burz!

A szkoda że nie ma ostów —
wielka szkoda.
Są za to z plastyku bluszcze
pnące się murem —
samotnice wysokich gór
fiołki alpejskie.
I nienaturalnie duże
agnes gault —
odmiany róż.

Lachanalie lachanalie —
to chyba śmieszki
a może nasze konwalie
lecz żółte całe
i w pasie szersze.

Antyriumsów zdziobane twarze —
i anioł wiszący w blasku
jak niespełniona nadzieja —
Orchidea.



W niebie będzie nam lepiej
mówią słoneczniki —
i patrzą w niebo
i szukają słońca.
Mają twarze w kołnierzach
szafranowożółtych
okrągłe zażreniczone
pachnącym pigmentem.
Miód z warg ich spływa
na stopy pszczoł żwawych —
pęcznią w ulach
sześćścienne cele —
a one idą jakby po drabinach
w górę dostojnym wirującym ruchem —
wierząc że patrząc w niebo
przezwyciężą w sobie
nikłą doczesność —
i ziemi odbiorą wielkość.



Otóż to —
zapyłanie nigdy się nie kończy.

Czasem wybucha grom
rozpacz nieba strąca pionowe deszcze
błyskawice lecąc
zaczepiają o drzewa
Roślinom
drżą kolana.
Czasem pod naporem
pękają twarde pnie —
śmierć chorą ręką
wrywa z ziemi
całe pokolenia.
Potem przychodzi cisza
spada ziarno

i jednym haustem
zaczyna się życie.

Otóż to —
zapyłanie nigdy się nie kończy.



Skąd się biorą przetaki
przesiewające mak?
Liście prosa —
strumienie zwieszzone
źródłem w dół —
dłonie serdeczne
zaspakajające głód —
batuty cierpliwe
dyrygujące wiatrami —
kiście o włosach
rozpuszczonych —
jak przemienienie muzyczne
u Bacha —
skąd się biorą?



Jakaż niemiłosierna w sobie
pamięć kazała trwać jabłoni!
Naga bezsilna bezowocna.
I tylko słowo ją obroni
a nagość jej przykryje noc.



Po drugiej stronie słowa
jest pożar pamięci —
Poezja — jasność upodobała.
Zdania
pochyliły głowy
przyklekły
czekają z płomieniem w sercu
aby się spotkać z Ravelem.



Korony moje
o rzeźbionych głowach —
wszystkie ze złota
i lekkie jak puch.
Biorę do ręki
was — cierpliwe kształty
wciąż wirujące we mnie
źrenice kolorów.



Może gdybym rozłupał
soczyste pancerze —
gdybym zszedł w wulkany
i zbadał ich serce
pełne wrzących metali
płynnych bazaltowców
kosmicznych węglowodanów
pływających cieczy —
Może by mi powiedział
mój opiekuńczy anioł
o zaczerwienionej
nieprzystępnej ziemi!



Zza siedmiu gór
zza siedmiu rzek
białe mlecze
ciche dłonie wznoszą
Zza siedmiu nocy
zza siedmiu ciemności
idą na nas po trupach zieleni
trucicielki zabójcze i mściwe
gorczy pełne
pokrzywy.



Promień się schyla
proso miłe —
wyproszę ciebie
wyłuszcę
na karatowe okruchy
i w muszli dłoni

schronię.
Na wiosnę — miłe proso
posieję cię — byś rośło —
srebrne o srebrnej porze
złote o wieczorze.
Koncho jasnoperłowa
w rosie skąpana —
na mleku — kaszko jaglana.



Gdzie drżą gwiazdy
wpatrzone w ciała osin
gdzie jałowce
owocują bólem
i drobne stożki paproci
(zielone papugi)
wiszą przyczepione
pazurami do ziemi —
gdzie skrzydła pszczoł
laseruje jasność
i ciała tancerek
unosząc się — szukają
łąbędzich jezior —
tam ślepe źdźbła pyłu
wstępują w rośliny
i żar rozpala
moje słowo.



Dopiero teraz dojrzałem —
Jestem jak suchy wiatr.
Można mnie oglądać
w gablotce: Homo sapiens
wśród wielu innych
eksponatów. Literatura
pali octem oczy —
poeta archeolog
balsamuje wiersz
zamyka w muzeum.

Dopiero teraz dorobiłem się ust
umiem w goryczy

smakować jej słodycz.
Dopiero teraz nawiązałem z sobą
rozmowę.
Kiedyś byłem —
pozostał po mnie
chory niezasypany
sądny dzień pamięci.
Otwarta
bólą sterylizowana
rana.



Gdy inni rzeźbią grotę swoich słów
i barbarzyńców zwołują na pomoc —
ja nie dowierzam wierności papieru
bieli księżycy i nieśmiertelności.
Szukając gmatwam tradycyjne wzory
a broniąc ziemi wchodzę całym ciałem
w słowo — jak mika w skałę.



Za mnie — kto wzniesie kiedyś lament ?
Kto krzyż postawi przy tytule ?
W szarych okładkach
czarne zdania
drukarską farbą
rozstrzelane.
Jakby to była moja wojna
zwyciężająca ostrzem słowa.

Rozpędzam w sobie gładkie pory
dziedziczne pastelowe wiersze —
druk rozsypanych liter-form
które nie mogą się pozbierać
do dziś — w rodzinnym domu składni.

Może dlatego nie chcą słuchać nas —
albo słuchają już kogoś innego
kto jeszcze zdążył
gdy ja się spóźniłem.



A może jest on w tyle
może się nie śpieszy —
czeka na rzeźby słów
opasane światłem —
śledzi gdy uwypuklam
narastanie dnia
w którym wspólnie się rodzą
poeta i słowo.

Wypada więc poczekać
usiąść zniżyć głowę
i spojrzeć z bliska
w oczy czasu —
wejść w jego nieprzebraność
wnętrzem do wnętrza.



..... we mnie noc zasiewa
w bezsennych burzach ciemne krajobrazy.
Dla lunatyków ojczyzny mam gniew
i grób zbiorowy na obcym cmentarzu.



W obronie ziemi! Zaświadczę się słowem —
wiarą w rośliny, pokrzywy i osty.
Tyle z nich wzięłem i tyle zachowam
pod tę konstrukcję poetyckich mostów.

Kto po nich pójdzie? Nie wiem! Dla poety
gdy bierze w rękę źdźbło, ważna jest chwila
i słowo ważne — i to co w nie wszepiał —
Zdania świecący meteor i motyl!

W SPRAWIE WIERSZA

W sprawie wiersza pisanego wokół słowa
W sprawie wiersza warzonego na pachnących ziołach
W sprawie kuchni mojej i księgi mego Znak
w której sam streszczam wzory na przysmaki
— gotowane na błyszczącym sprzęcie: wycucie i przesąd
są solą mojej kuchni...

W sprawie zdań — od głowy aż do nóg
Czasowników pachnących
W sprawie składni —
Chemii elementarza, ziemi, roślinności
W sprawie pulsujących jak krew wykrzykników
Z których czytamy nawarstwiając zgłoski
O wielkościach nikłych jak oset
O czekających głowach do pozłoty
przy których czepek kucharza
jest koroną królewską i berłem cesarza.

A ze słów gdzie się wszystko zaczyna
ale nic nie kończy
buduję oktawy strome.
Niech one mówią za tych którzy milczą
Za potrawy moje z liter ułożone
Za wiersze które żyją, snop mego pokolenia —
I za mnie: kulinarne widziadło.

WIDZIAŁEM OBRAZY VAN GOGHA

Widziałem obrazy Van Gogha: wyrastały na ścianie —
Ludzie nie chcieli patrzeć, zakrywali oczy.
On gwałtownymi ruchami tłumaczył powietrze
Wykręcał drzewom ręce w stawach, deptał ogień
i zieleni nie chciał wybaczyć.

Widziałem wkoło obrazy. Jedne stały obok,
inne odeszły zapatrzone w siebie —
Pyszne, z ogniem południowym w oczach.
Widziałem obrazy martwe, pokryte ramami,
te które uschły i te które rosły
obarczone skrzydłami jak roślina tlenem.

Widziałem obrazy w samotnym kostnieniu,
niedoświetlone uwagą i słowem —
Z rzes im spadały łzy gdy je mijano.
Stał tam również słonecznik o liściach gwałtownych
w koronie mocniejszej od błyszczących słów
i rósł na oczach do nieba
by upokorzyć słońce.

Widziałem również prowansalskie twarze
w piwiarni gdzie pito wino pod suchym drzewem pinii —
Kamienie wkopane w rynek po pas
i saboty przekupek które tam i sam
niosły barchanem obłożone ciała.
Miały ręce splecione na brzuchu
i pełne podołki pomarańcz.

Takie właśnie widziałem obrazy Van Gogha.

Ale w ścianę uderzył grom i Van Gogha nakryła przepaść.

Wyszedł wtedy z miasteczka i poddał się ziemi.

Widziałem poskręcane dusze fioletowych drzew

rowy pełne lawy nakryte ogniem

niebyt kwiatów, wołanie roślin —

i zenit.

Tak za bramami miasta przyszło trzęsienie ziemi

i malarz zapadł się w ogień.

Widziałem gładkie twarze snobów zapatrzone w siebie.

Wiszące na ścianie obrazy, skarłałe od otoczenia —

i Van Gogha ukrzyżowanego.

Z SARTRA

Gdy woda zarzuca mu ręce na szyję,
kamień młyński obraca się i krąży.
Życie wchodzi w ciemność
i nic się nie dzieje.
Drzewo podarte płomieniem
daremnie woła o pomoc.
Noc patrząc nam w oczy
mówi z pogardą: Nie wierzę
w bezinteresowność proroków.
Człowiek budzi się
z własnego załamania rąk,
jak Judasz rozdziela pocałunki
i wchodzi w zimny strumień słowa.
Bo choć sto razy paliła się ziemia
pod jego stopami i usuwał grunt,
on ciągle idzie pewnym krokiem
i ślepym ciałem nie pamięta.

WARIACJE NA NORWIDOWSKIE TEMATY

Chciałbym żeby mi dorośli do pięt —
Ale nie dorastają.
Żeby wyżsi byli ode mnie o głowę —
Ale nie są.
Żeby mogli błyszczeć jak patyna czasu —
I nie błyszczą.
Choć ślizgają się zrećnie
i wspinając chodzą na palcach,
i zadzierają brody szpetnych słów
chorych na ospę, paraliż i odrętwienie.
Choć są i dlatego myślimy że będą,
że na oczach naszych zakwitną ptasim mlekiem
i wyrosną jak migdałowe ciasto z orzechami,
z rodzynkiem wtulonym w miąższ
jak łąza za przepierzeniem rzęs.

Chciałbym z nimi być —
mieszkać razem
unosić się
deklamować
udawać wiatr
mędrca z tiarą.
Nienapastliwym zdaniem
w otoczeniu snów
ucałować krajobraz.
Zbliżyć się
dotknąć siebie —

a ich brać w przybliżeniu
za nich.
Chciałbym —
I oni może woleliby
dopaść siebie
jak zieleń dopada bytu —
jak noc ustrojona w gwiazdy zbliża do nieba —
kształt do płomienia,
i my, gdy — owijając słowo w bawełnę dźwięku —
opłakujemy wczorajsze ikary.

Z KIERKEGAARDA

Zegary nasze aż do śmierci
szukają gruntu pod nogami
gdy nas powoli przysypuje czas,
Ślepi, wchodzimy w stygnące godziny —
Pod nami krok się ugina i łamie.
Czasem w ciemności zawiedzie nas słowo
martwe, jak góra obrócona w kamień.
Inne jak drzewo, jak skarłały dźwięk
w suchym korycie zdania.
Ci, którym ogień zagroził horyzont,
ci ciągle chodzą dookoła cieni —
A ci, co ocaleli, zdruzgotani wojną
mogliby dużo powiedzieć o sobie,
powiązać nici w błyskawice zdań
i życie życiem ratować — lecz oni
na zawsze w sobie pogrzebani — milczą.

OCZY KOBIETY Z PORTRETU PICASSA

Przeliczyłem się patrząc w jej oko.
Było jak obcy wymiar; trzy otwarte źrenice
na firmamencie jednej twarzy. Tak
jakbym liczył gwiazdy gdzieś na stycznych nieba
podwojone odbiciem przez dno płaskiej rzeki,
w lustrze gdzie oprócz chyżych rybek i złotego piasku
falują włosy topielców.

Bezdźwięcznym ruchem ?

Tak!

A piasek był na samym dnie
galopującej rzeki. Nad nim Sekwana
płynęła poczesana płaskimi barkami. Mały
statek śrubowy i przelotny jacht,
z białym gołębiem skrzydłem zamiast żagla.

W niej właśnie

były jej oczy.

Potrójnie jaskrawe
wypisane na twarzy której już nie pamiętam.
Ale twarz była, pocięta liniami
sztywna lecz bardzo ludzka, wyłupana z czasu
który miał nadejść. Stąd ten nadmiar źrenic
wlepionych kłusujących niby oczy zmii
dobijającej siebie.

— Nie wiem, nie pamiętam!

Za to oczy te widzę jeszcze dziś tu
w oknie mego domu.

Wchodzą poprzez szkła
przez włosy które czas

odkleja mi od czaszki
przez szczeliny ciała
przez rdzeń kręgosłupa.

Oczy kobiety z portretu Picassa —
moje oczy.

LEBENSZTAJNA PORTRETY WNĘTRZA

.....skąd on się tu wziął
by nas egzaminować z anatomii piękna?

Na oczach moich malarz rozłożył drabiniasty kadłub
otworzył palto skóry
świeci wnętrznościami.

A jeśli spojrzeć głębiej to bezdenna czeluść —
węże powietrza, ropiejąca wieczność
wśród kolorowych i gnijących jelit.

Patrzę na brudną plamę i widzę jak wulkan
wychodzi z kawern, o kulach z płomieni.

Są to zwyczajne wrzody gnijącego ciała
mrowie śliskich robaków wpełza im pod skórę
i widzę zamiast twarzy liszaj w pełnym blasku.

I to jest sztuka, zapytują oczy?

Z czego się rodzi? Jakim służy celom?

Widza rozpiera śmiech. Po sutym obiedzie
przyszedł aby odpocząć i nacieszyć wzrok.

I co zobaczył — roentgenowskie plamy?

Portrety-krzyże wiszące na ścianach
mocne jak promień który
nie potrzebuje słońca.

MAŁY EROTYK NA DWA CIAŁA

W Europie jest strasznie ciemno —
Przypomina mi się moje mieszkanie
na ulicy Dobrej
i Różia o grubych dłoniach
susząca bieliznę.

Razem rozwieszamy płócienne jasności
na sznurze przeciągniętym przez pokój
który łączy dwie przeciwległe ściany
jak dwa różne światy
i rozmawiamy milczeniem.

Ona mnie bierze za rękę
i pokazuje łóżko
gdzie jest jeszcze więcej jasności
i pulchny kwiat pierza
w zmysłowych poduszkach.

Pragnę dowiedzieć się co w nich śpiewa —
Przykładam ciekawe ucho —
gdy Różia trzyma w dłoniach moją głowę
by nie stoczyła się w przepaść.

A potem
w zamyśleniu wieszamy bieliznę —
I czekamy
aż wróci jej rosyjski kochanek.

MEDEA

Więc wstała z rana senna po zbudzeniu
młoda i zapatrzona w siebie.
Ślicznie włożona w drobiazgi codzienne
ruchem zegarka uniosła się w sobie
pełna jak jasek, muszla lub jak owoc —
I tyle miała jeszcze przędzy w głowie
że tylko myśli jak paciorki nizać.
A wszystkie były z pereł i to rzadkich —
Dłubiąc w jasnościach policzków

śledziła
uśmiech co z różem wspólnie się rumienił
rzęsę natartą jak migdał na słońcu,
czoło podobne do wybrzeża świtu
gdzie Mojżesz z brodą w opierzeniu złotem
ziemię jak kokon owija w promienie.
Więc wstała wreszcie i całując

wschód
zjadła śniadanie. Jak ptak skubnęła —
i błyszcząc całym ciałem
schodziła potem opięta w kolory.
Jej zgrabne długie o sarnim akcencie,
łączyły oba elementy naraz —
nogi bogini i współczesnej panny.

Na falach domów leżały obłoki.
Trudne do uchwycenia, rozczochrane okna
iskierki lamp zamieniały w kwiaty
paproci. Kominy fabryk, gustowne remizy
gdzie półkoszkami objuczone wozy

stały jak nosorożce o drewnianych rogach.
A ja nie chciałem wierzyć własnym oczom,
nie byłem wcale Jazonem tej panny
i z greckim wajdelotą rozszedłem się w szkole.
A potem szkoła uciekła mi z głowy
głośno jak bąk —

i tak minęły czasy.

A teraz na palcach
śledziłem ją i czułem bicie serca.
Jej mąż — wiem — emigrował, uprawiał podróże,
żył pod dyktando czasu — był łazikiem.

Patrząc zaś w lustro, można było

całe

tomy napisać o jego własnej (naszej)
próżności. Dzieło poparte faktami z rękawa.

Rzuciła go i wzięła pracę w biurze
Samotna w gronie opuszczonych żon.
Jak ziarn maku w makówce tyle dziś Jazonów —
Nasze Medee piszą na maszynach.

Z FREUDA

Nikt nie zabrania ziemi stroić się w ornaty,
przywdziewać ciemność, wchodzić w togę blasków,
w kolory kwiatów których wdzięk przemija...
Życie jak owoc rodzi się i ślepnie,
błądzi i idzie o kulach
czterech pór roku —
lub wisząc na włosku
pełne rozpaczy kontempluje sytość.
Wieczorem sen zamyka nam oczy,
wtedy jak Freud szukamy po omacku
by wydrzeć nocy prawdziwe istnienie.

SYLVIA PLATH

Znałem ją — drobna jak diament —
słowa jej koronował blask.
Jeśli porównać z dzieckiem,
to jeszcze drobniej i nieskazitelniej —
a jeśli z aniołem,
to widziała wszystko jak na dłoni.
W jej wyobraźni świat się kurczył,
nabierał światła. Jej jasne oczy
zamieniały się w dwie żarzące świece
i gasły jednocześnie —
dwa napastrki popiołu.

Weszła w gardło ziemi
jak płomienna róża.

Była głosem zapowiadającym bitwy.
Z ustnikiem złotego rogu przy wargach,
grała Bogurodnicę na powszechny mord —
ulatując w niebo.

Widziałem ją w Chicago,
tak jak się patrzy na czerwcowy ranek.
Klasztor miasta
przemyczał na jej skroni młode pasma lęków.
Już wtedy niosła w sobie mądre skąpstwo słów —
bolesne ich piękno,
kościste chodniki,

zgrzane w ulicach domy
i whitmanowską falę gorącego zdania.

Znałem ją —
Czytałem o niej.
Umarła nagle —
Czas załamał ręce.
I tylko Poezja
z palcem na ustach
mówi cicho — usnęła.

G D Y B Y M B Y Ł N O R W I D E M

Gdybym był Norwidem
Gdybym był Norwidem w Paryżu
Gdybym nie musiał być sam —
Gdybym nie musiał uciekać za morze.
Gdybym nigdy nie ujrzał Toronto
Nie deptał jego ulic.
Gdybym nie czuł zmęczenia podróżą
Nie odwiedzał domów brudnych od starości
Gdybym nie widział hotelowych izb
Wygniecionych łóżek, stołów z biblią
Błatów podziobanych ludzkim niepokojem
Błaszanych miednic, dzbanków z wodą.
Gdybym nie musiał uciekać od siebie —
Patrzeć na własne niezaradne ręce
Na niespokojne wiecznie w ruchu ciało
Na pośpiech nóg wokół stołu.
Gdybym uniknął podróży —
Gdybym nie musiał pamiętać
Gdybym nie musiał za was się tłumaczyć
Unosić się, krzyczeć za was.
Gdyby ktoś jeszcze był za mnie
Tak samo głodny zmęczony uparty —
Gdybyśmy obaj byli z siebie
Obaj z tego samego milczenia i słowa.
Gdybyśmy obaj mieli jedną twarz.
Gdybyśmy mogli usiąść wspólnie
I zapomnieć wspólnym zapomnieniem.
Gdybym mógł wiedzieć, że ktoś jeszcze wie

Ze są inne drżące kolana
Ze inne krzesło dostawił mi los
W moim pokoju. — Trzasnęły otwierane drzwi
Ktoś wszedł, poznałem go, powietrze się zatrzęsło —
Poznałem po zmęczonych plecach, po ramionach
Obarczonych ciężarem wieczności —
Po sapiącej podłodze, po zgrzycie krzesła
Po pokoju który z trzaskiem
Załamał ręce starych ścian
Potem nastąpiłaby cisza, ale cisza dwu
Cisza bliska, cisza łagodna
Pełna człowieka.

Gdybym był Norwidem —
Drogą wiodącą w odległą samotność
Do domu starców, do pokoju śmierci
W którym na oczach świata
Odeszła od nas
Ojczyzna.

ONEGD AJ

Onegdaj wykopano mnie z ziemi —
Onegdaj byłem ale już nie pamiętam
Po wykopaniu ułożono na płótnie
I prześwietlono lecącym powietrzem —
Z ziemi wyszły dwie bliskie mi rośliny
Stały u stóp załamały ręce
Zrobił się z tego krzyż i żal
I szara z deszczu pogoda —
Onegdaj
Ale dziś kiedy już wiem
Nie powtórzę siebie po raz drugi.

I JA ZA MOJE RESZTKI

Wiem — wielu przeszło przez ogień
wielu przez druty kolczaste
kto był zamknięty raz
pozostanie na zawsze zamknięty w sobie.

Mój Mojżesz zatrzymał się na tej piędzi strachu
gdzie teraz stoję nicując szczegóły —

Wiem — ząb za ząb
oko za oko
ręka za rękę
gardło za gardło —

wiatr za wiatr
błyskawica za błyskawicę —
i ja za moje własne resztki.

ARKA

U stóp moich jest kałuża łez
i wiem że wkrótce nastąpi potop
że zapadnę się
we własną słołę.

Ziemia rozstąpi się pode mną
zejdę w nią klinem swego ciała
plecionką mięśni
gliwicami kości.

Bez busoli wejdę
w kamień
w kolczastą ciemność
arką swego ciała
rozrzuconą po świecie.

OPIS MIASTECZKA CH.

W cichym spadaniu złotego promienia
wracam pamięcią do miasteczka Ch.

Wieczorem gasną letnie godziny upału
Strumień powietrza o gorących stopach
schodzi pod ziemię. Od miejskich rogatek
wozy wjeżdżają w noc i w polną zieleń.
W oknach kobiety zapalają lampy.

Razem z ptakami wspinałem się często
na stromą górę za starym soborem,
żeby zobaczyć jak nasz mały gród
błyszczący, do pasa zanurzony w trawach.

Podmiejskimi polami przebiegały konie.
Ich długie grzywy zamiatały niebo.
Ciemne okręty o rozpiętych żaglach
płynęły zbroczem. Słyszałem plusk fal,
wołanie sternika i śpiewy syren kuszące żeglarzy.

Daleki horyzont milczał sosnowym murem!

W domu czekały na mnie spontaniczne dłonie.
Ciemny krajobraz poddawał się geometrii rąk
Serce ciosało go na jaskrawe bryły.
A ja wyklaskiwałem oleodruk miasteczka,
Jego ogrody w pomarańczowych popołudniach,
i wapienną tapetę ziemi.
Cienie słów znałem na pamięć.

Matka czasem brała mnie w ramiona
Dotykała z westchnieniem nieporadnych zdań,
szlifując sercem moją wyobraźnię.
Cóż — fruwałam w nocy jak anioły
Cały dom był na pastwie nieba
Ulice z nami ulatywały na skrzydłach,
biorąc miejskie wiry odważną pamięcią.

Ileż oddechów miała wtedy ziemia.
Pulchne jej pory parowały rosą.
Dżdżownice urabiały sobie ręce,
pracując w blasku nocy.
Rosa wychodziła naprzeciw spragnionym
i wiatr przesuwał parawany chmur.
Niewidzialne sowy huczały protestem
i czarne nietoperze żarzyły się w powietrzu,
matowymi skrzydłami biorąc ciemność w obronę.

W cichym spadaniu złotego promienia
widzę często miasteczko Ch. —
Mój Nazaret rozstrzelany wojną.

SPOJRZENIE

Pamiętam ile matka miała w sobie trwogi
od samotności posiwiały jej włosy
ręce w żylastej agonii dźwigały stare lata —
zwisły potem znieczulone pracą —
martwe głowy ptaków.
Nie mogła unieść się na zawołanie
dźwignąć z poduszki
otworzyć listu —
pielęgniarki podawały jej chleb
słowo uszom —
a ona dopytywała się o każdy przecinek
o niedopisane westchnienie —
bardzo już siwa jak zimowy szron
z kukułkami żrenic
szukająca mnie bardziej od życia.

Lecz teraz zmięta doszczętnie
z przepiórką trawy pod głową
leży
i oczami które nigdy nie osiwiały
patrzy na mnie.

PSALM NA SPOTKANIE Z NOCĄ

*Stanisławowi Piętakowi
tragicznie zmarłemu*

Nie wiem czy serce Twoje nie powinno być
Wykute w brązie dla przyszłych pokoleń —
A droga wypisana z najwierniejszych słów
które czuwały z Tobą do ostatka?
Bo gdy poeta odchodzi w obłąkaniu,
to świat jest chyba szpitalem dla żywych,
nocą nad brzegiem wiecznie czarnej Lety
gdzie ciszy nie rozerwie żaden wystrzał słowa
i nie ma dzwonów iskrzących się spizem.
Sternik o oczach fosforyzujących
i kocich ruchach, łupiąc twardą falę
presunie czołno po rufie księżyca
a potem stanie trzaskając milczeniem
w zamkniętym porcie — po tamtej już stronie.
Samotność — oto muzyka jaką przewidziały
na Twoje odejście dłonie sprawiedliwych?

Nie wiem czy wolno nam nad Twoim grobem
odmawiać słońcem pisane kantaty
składać pod głową żywe pęki słów
nieśmiało trawy wiązać w wiejski bukiet
i sławić wieczność, tak jak ją sam siałeś.
Łączyłeś w sobie w słowa sens zieleni
jak fala łączy się i jednoczy z plażą
i krucha piana spina z brzegiem oceany.
Wiem że dwa razy odchodziłeś od nas

i dwa razy — mówiono — wracałeś z uporem
by nam powiedzieć że świtu nie będzie!
Noc stała przy nas ciemną różgą —
W gryzącym stroju, pozbawiony ciała
księżyc nas ranił swoim ślepych wnętrzem.
Żywi nie mogli pozbiierać się w sobie!

Miałeś oczy okrągłe i smutne jak bursztyń
zwłaszcza gdy czarny upał ziemi
wybuchał lawą sztukowanych czasów.
Gdy dno otwarło się nam pod nogami
i zagniewane psy — wężąc — szukały zdrady.
Dokąd ci było wtedy biec, do jakiej bramy —
Pod czyim dachem szukać ocalenia?
Raz nawet chciałeś przydeptać łeb zmił
ale Historia zzuła Ci buty z nóg
ołówkiem mistrza rachowała kości.
Stałeś jak szydełkiem robiony dmuchawiec
wołając o sprawiedliwość, lecz nikt Cię nie słyszał.

Czyż mógłbym Ciebie odebrać pamięci?
Czyż mógłbym Ciebie obnażyć ze słowa
smakować krzykiem który zęby łamie?
Ptaku, przy Tobie, struna pokorniej ciszą
milkłą orkiestry i bledną strojne pawie.
Ty, guślarz ziemi — wiejski Dante z różą —
Tylko nie wiemy, dla jakich pokoleń?

2

Siedzą nad brzegiem wody marząc o złotej rybce.
Staw jest królestwem elektrycznych lamp
i mądrych cytat wiatru.
Łuki mostów w naszyjnikach wierzb
ustawiono tu dla zakochanych.
W dole na rzece płoną źdźbeł pontony!

Czasem przychodzą tu zwolennicy zarcia i tłustego
[śmiechu —
Zostają po nich rozżalone trawy, rozbite butelki
i klęska szklanek. Poeci-pajace
urządzają tu loterię słowa —
licytując się, biegną po napiętych zdaniach

rzucają głową w dół —
i udając że wiedzą coś więcej o życiu
głoszą wolność w klatkach.

Mój Boże, w tym wspólnym ogrodzie
gdzie drzewa stroiły się w wibrujące liście
gdzie żywe krzaki nakrywał haft kwiatów
wchodziliśmy kiedyś w nasze upalne prowincje.
Szkoda, że Ciebie już nie ma — wielka szkoda!
Kto tak cierpliwie czuwał
i noc prowadził cichą stopą wiersza —
Cierpieniu z warg zdejmował słowem ból
całując jego poetyckie runo.
Kto tak sam z sobą rozmawiał na ucho
i umiał sowom układać ich pieśni —
bić w nas świtami z alabastru
wierszem — jak ogni gilotyną —
może dziś łączyć brzegi obu światów
i z ziarn zebranych u podnóża nocy
własne roraty odmawiać w ciemności —
zmówiony z wiatrem jak skrzydło gołębie.

3

Z mrówką być mrówką budującą świat
a ludzi zawsze zadziwiać pokorą.
Jesteś jak olbrzym w skórze niemowlęcia
który się lęka dalekiej podróży.
Gdzie jest nasz czas i jakie ma oczy?
Po drogach ludzie-duchy idą do ślepych okolic.
Ciemność dokoła, aż truchleją słowa!
Mój dzień — niestety — nie jest już dniem Twoim —
więc śpisz i męczysz się w gęstwinie własnej nocy!

KAMIEŃ I LAMENT

Wchodziłem w życie, jakbym drążył kamień —
W ciemne pułapki nieprzychylnych słów.

Czas poddawał się ziemi, zmieniał blaski
i mijał cicho jak liść ostateczny.

Dni za mną biegły jak miotacze ogni
Ziemia rodziła głód. Na domy padał płomień.

Byłem tak mały, bałem się że zgasnę
Stanę jak zegar bijący na lament.

Pomiot bakcyli krążył mi nad głową
Ptaki o dziobach z nitrogliceryny.

Nocami bombowce targały miąższ snu —
Zapomniałem zupełnie że byłem człowiekiem.

Dzisiaj sparzony uciekam od słowa
Nad którym serce załamuje ręce.

Od wzgórz łagodnie schodzących łukami
Aż po równinę wody. Od welonu nieba.

Całej z muślinu przedzy popołudnia
Na którą spada syta błogość kwiatów.

W parku postacie siedziały — dlaczego
Dotąd je widzę, choć je zniszczył czas?

Pary objęte zakochanym ruchem
Z krateru nocy szły w krater księżycyca.

I dzieci — drobne w trawie chrząszcze —
Przyczajone, śledziły mutacje miłości.

Powietrze potem rozdarł pazur ognia
I uśmiech znieruchomił jak kamień na procy.

Wody wybuchały, dotknięte płomieniem —
Nieużyteczne — same się spalały.

Cóż po patosie ziemi o milczących ustach
Po tych koturnach świtów i zachodów.

Gdy łąza policzek wyjadła do kości
I krople rosy zdrętwiały na śmierć.

Jeżeli drzewo które z mojej dłoni
Wyszło — wciąż czeka, nic sobą nie mówiąc.

I co po słowie twardym niby orzech
W łupinie dźwięku, kiedy ziarna nie ma.

Co po dniu, któremu z oczu wylupiono promień?
Bo ja tym bardziej jestem, im bardziej mnie nie ma.

POGORZELISKO

Pozostała mi czarna godzina jeszcze i mój pegaz
Konie w stajni zmęczone nie mogą wstać do biegu
leżą pełne wieczności, sierść przestała się złocić
i słoma powoli dogasa. Nie mają już rześkiej mocy
ani rąk-pęcin. Szyja o arabskich kiedyś wiązaniach i łukach
przestała rozpierać powietrze, krew nie gra, para im
[z nozdrzy nie bucha

i pęcina czeka w przegubie.

Nie, tych koni nie wskrzesi już archanioł dnia
Trąbka z kolorowym ustnikiem nie wróci kopytom wdzięku
Atlasowe ich ciała ich rasowy kręgosłup
ich rozmowy z dłonią skończyły się —
Nie wdzieją na siebie batystowej sierści
Mosiężnych kolczyków z jedwabiu
Nie dopasują gorsetów —
Z kopyt zerwą im nowe podkowy
niepotrzebne już bosym stopom
Oskalpują grzywę i ogon
a potem wywloką na pogorzelsko
w brudną noc za miasto
w kolczastą ciemność.
I nawet Anioł Stróż odwróci od nich oczy
i zaniemówi.

ARS POETICA

Mój dzień jest dniem przyziemnym. Żyję
zwykłym życiem. Czas płynie bez patosu,
krokiem codzienności. W górze chmury z papieru —
Symbol przemijania — bo co je zniszczy,
nas też zniszczyć może i oddać śmierci.
Ponownie przeto wstępuję jak ptak.
Gdzie jego skrzydło, tam jest moje słowo,
Bo choć spalono wszystkie jego struny
ocalał we mnie bezlitosny dzień.

Poeto romantyczny, dlaczego cię nie ma?

Wkoło szepczą godziny. Jest ich coraz mniej
A może tylko mówią coraz ciszej?
Na polach stoją gorące południa
i dzieci chodzą w kloszach swej młodości.

Uśmiech ma cenę zapyłonych zbóż.

O ciemna ręko, dokąd mnie prowadzisz?
Złotnicy we mnie wołają na alarm,
i nie potrzeba kunsztownej pamięci
żeby połączyć w sobie dwa przeciwne czasy
i życie nasze nazwać po imieniu.

Poeto romantyczny, dlaczego cię nie ma?

O ciemna ręko, dokąd nas prowadzisz,
przez miasto wypalone w ceramicznym piecu

gdzie tyle naraz scen jak w biblijnym lesie? —
W kamieniach głucho, że dźwięk się nie ima.

Zgęszczony ogniem promień wyciska pot z czoła.

O rękę, która oddalasz mnie i zbliżasz
jakby do luster pełnych krzywych twarzy,
dokąd prowadzisz mnie? Wygnany, wróć!

Tak bardzo przyzwyczailem się do upiorów czasu.

Stoję na ścieżce i czekam na echo,
wychodzi z kwiatów na mlecznych łodygach
stukolorowym żądłem urodzaju. Nad nimi
strawione głodem twarze, rusztowania drzew,
szkielety ulic, wata ciał dziecięcych
spłaszczonych na kamieniach jak skrzydło motyle.
Tu puder z kwiatów zbiera skrzętna pszczoła
i miód przelewa w sześćościenne dzbany,
które czas rzeźbi w palcach i nadaje kształt.
I wiem że słońce przekroczywszy próg
wniesie dzień zwykły i coś czego nie znam.

Już się przetoczył krajobraz ciemności,
dom cały błyszczy jak na wodzie promień.
Zieleń otwiera usta, słyszę głosy drzew.
Ileż wdzięku ma kwiat a szacunku pszczoła,
gdy wchodzi w jego pachnące komnaty,
by zarobić na życie.

Jak można przeto pisać o innym istnieniu,
kiedy mi wojna stoi solą w oku. Czekać
na rosę, na patronkę wiersza —

Werbować rymy, chore jak wszystko czegośmy dotknęli.
Ostre jaszczurki ogni przebiegają ziemię.

Poeto romantyczny, dlaczego cię nie ma
w mądrości śmierci, która wciąż pożera?

Czytając wiersze Audena, mówiliśmy wczoraj
o jego błyszczącej magii i prorocत्वie.
Wielka to dla nas radość budować nowy świat
na starych fundamentach. Unikać łatwych zdań.
Pisać mową podobną do naszego życia,
gdzie każda łąza spadając wstrząsa fundamentem,

nie przydeptana gładką stopą rymu: westchnienia,
zamiast słów, ból zamieniony w ckliwość,
a wszystko w wacie cudzej poetyki, podpatzonego
stylu, nieskazitelnie odliczonych zgłosek.

Pamiętasz — razem wyszliśmy z obozu,
wkoło łamano świat. Był koniec wojny,
a ja trzymając dłonie w twoich włosach
nie mogłem dobrze zrozumieć twej twarzy
ni twego strachu przed nagłą wolnością.
„Chodźmy, — mówiłaś, — uciekajmy stąd
dopóki bramy stoją niestrzeżone, zdarte
z powierzchni i zasieki leżą zdeptane czołgami,
a wieże, podcięte artylerią powieszwały głowy.
I nie ma nowych z bagnetami straży —
Bo jutro przyjdą i będą nas liczyć”.

Patrzyłem w ciebie przez trwozę tych słów —
Szliśmy przeciwko prądowi wolności —
Sami — przeciwko śmierci. Nikt o nic nie pytał.
Dawano nam chleb, wskazywano drogę,
ale nikt nie chciał uznać nas za żywych
uratowanych w przededniu spalenia.

Pamiętam — miałaś bardzo długie włosy
które ci zdarto siłą. Potem
nosiłaś tylko brudną na czole szmatę
związaną w węzeł. A włosy, splecione z blasków,
nosiłaś w sobie jak gorący klejnot.
Stąd w twojej twarzy wyraz bolesnego snu
który po przebudzeniu pozostał na jawie.
I nie mogłaś zrozumieć szlachetności Boga
kiedy mordercom kładł róże pod nogi,
słał czyste łóżka, karmił sytym chlebem
by mieli siłę do katowania żywych.

EPILOG

Wróćę do domu, wejdę do pokoju,
przez pusty próg, drzwi i martwe ściany.
Na oknie znajdę brudny stygmat łaju
i w bielmie pajęczyny, widma starych ram.

Tutaj siedziała Matka. Stołu nie ma,
a zamiast ławy pręga na podłodze.
Jakby ją wlekli za jej siwe włosy,
a potem wchłonął piec. Popiół i noc!

Po drugiej stronie, w wypłowiłym drzewie,
zwrócony twarzą, czytający z oczu,
w krześle pogiętym bólami starości
siedział, trzymając Biblię w dłoni — Ojciec.

Krzesa odeszło spopielone łącno,
Próbie płomieni poddano treść słowa.
Ojcu, gdy bronił mojej Matki,
Żołnierz roztrzaskał kolbą głowę.

TO WSZYSTKO

To wszystko co jest moje
ziemia zabrała —
łódzie punickie, piasek wiślany
most rozpięty gołębiem białym —
to wszystko co jest moje
popalono
połamano
zamknięto im usta —

Królestwo dymu
popiół wiślany
piasek wiślany —
gołębiom skrzydła połamano
mostom żebra
ludziom oczy.

Tylko woda jest głębsza od życia
zbiera niesie za horyzonty
skrzydła
żebra
kłosa żrenic
wiślane sprzęty —
zbiera i niesie za horyzonty.

To wszystko co jest moje —
skrzydła
żebra
i sprzęty żrenic
czekają w porcie moim
na przebudzenie. —

ATLANTYDA

Wiem że do Atlantydy nie dotarłem jeszcze.
Na moim łądzie ciągle trwają burze
i słowo tonie po wargi w chaosie.
Szukam młodości zadżumionych drzew
Chronicznym gradem tratowanych kwiatów
Złoty piorunów, ostrych jak nożyce,
rozcinających ogniem hartowane niebo.

Wiem, że do Atlantydy mojej nad płytką zatoką
z wapiennym wzgórzem w utlenionej bieli,
do łąk, po rzęsy w przezroczystej rosie,
do gotyckiego we mnie uniesienia,
do kłosu słowa, nie dotarłem jeszcze.
Otwarte dłonie czekają na owoc
Bo tak długo zgłębiałem ostateczność kwiatu
że tylko wiara dzisiaj mnie ratuje .

Ominęły mnie wszystkie dziecinne słodycze
Sny cichostope spadły w przepaść —
Czerwcowy wieczór, pogoń za młodością
w zielonych trawach, ciętą ręką wiosny —
Świt otoczony ramą horyzontu.
Została droga skrzyżowanych dni
Kurz zbierany kołatkami stóp
i ja, z pijącym ocet słowem,
jak przetrącony torturami krzyk.

Więc po co jestem i na kogo czekam?
Szczelny milczeniem jak paleta liścia?
Jak nieotwarte ziarno, jak w łupinie głos —
Samotne słowo w ornamencie ciszy?

NIC

Nie ma śladu
Nie ma głosu
Nic.
Są wielkie kasy
Przypalone ogniem
Jak leje po wybuchach.
Nad drzwiami wisi tabliczka z pamięcią —
Tu się przyjmuje gdy nas nie ma.
Wyjechaliśmy na krótszą-dłuższą chwilę
(Dyskusja nad czasem to marnowanie czasu!)
Gdyby wszedł listonosz należy go przeprosić.
Listy do nas muszą być pisane szyfrem
i doręczane szeptem, przy świecy,
przy pół zgiętym w czole kolanie.
Tak tu się wchodzi
Stąd się nie wychodzi
Łzy możecie zostawić
Są jak kukułcze jaja
W olśnieniu.
Gdzie indziej nie ma dla nich miejsca
Nie ma dla nich
Nie ma
Nie!

Z „DZIENNIKA” GOMBROWICZA
Chodząc po Nacochea, Tandilu, Shangri-La

Piątek

Wierzę w naturę, tylko jak ją przebrnąć?
Jak całym ciałem wejść w figowy listek?
Wierzę w wargami naklejane znaczki
Sekret godziny —
Wierzę w Gombrowicza.
Nieczystość w słowie jest jak wrzód na twarzy
Wierzę że w parku trzeszczą ludzkie mięśnie.
Bo tylko w cieniu ukryty, zimnokrwisty płaz
może się ciałem opasać — i czekać.
Lecz niedokochani
unoszą siebie jak pajak na nici. Śledzą
patrzac pod światło —
na tryskające ręce nadziewane ruchem.

Sobota

Na rogu bezrobotni żołnierze w mundurach —
Ciała jak piramidy
Zielonookie eukaliptusy w słońcu.
W iskrzącym się oceanie czystostopa plaża.
Jak się przemycić przez spleątany świat —
Przedzić siebie przez liść, strawić życiem —
Z haustem tlenu zamknąć w słowie?

Niedziela

Chór marynarzy, reklama oceanu

Drobne szyldziki żrenic pałają rumieńcem
W akwarium ryby wzbijają się ogonami w górę
Głos nagle pośliznął się na niestrawnej kropli
I płocha młodość wymiotuje cnotą.
A on jak spontaniczna ścieżka na odludziu,
stroma dla starych nóg. Naga egzystencja
w kraju zamkniętym w tropikalne bluszcze,
wśród liliputów — Homer i dynamit.

Czwartek

W Paryżu ludzie piją stare wino
Mądrość przychodzi sama z kartą menu.
Wystarczy usiąść, zamówić śniadanie
i już ci kelner wnosi Byt i Niebyt —
Pod nos podsuwa wschodni kawior.
W Paryżu można usiąść bezpiecznie przy Mistrzu
Przeżyć na deser totalną zagładę,
epidemię cholery, otrzeć się o dżumę
i nagłą zwyczaję cen.
Wszystko potem zapisać w cennym rękopisie
Zbudować system na zwykłej serwetce —
Zmiażdżyć Naturę wywyżżyć Człowieka
Przeżyć na własnej skórze ucieczkę z Egiptu.

Poniedziałek

Słowa jak żmije skręca suchy ból
Chore powietrze zapada na płuca
i zdanie pęka pod ciosem z ołowiu.
Noc ma czarne policzki,
Czarne jest wnętrze Miasta
z którego zarażone uciekają szczury.
Camus był ptakiem w tej płaskiej czeredzie
Był jak dzban Filebusa o dziurawym dnie
w który na próżno wlewał strugi słów.
Wchodził w ich treść jak w otwarty sezam
Rozpalał paproć, światłem drążył wnętrza
Otwierał muszle nocy. Głosem świerszcza
kwitł w zanadrzu ciszy
i ściany domu wypełniał elegijnym smutkiem.
Szukał patrząc na twarze o sto mil po zgonie
i nie umiał człowieka oddzielić od Boga.

POST SCRIPTUM

Chciałem opisać dzisiejszą planetę
gdzie ocaleni wolno przychodzą do siebie.
Gdzie nie ma miejsca żadnego dla słów
Gdzie już nie można nazywać rzeczy po imieniu
Gdzie nasze kroki idą na spotkanie —
Gdzie żywi nie mogą się spotkać.

Chciałem opisać popękane widma
Twarze wpatrzone
Krwawiące wnętrza ran
Miejsca gdzie dożyliśmy cudownych ocalań
I pamięć nasza nigdy nie zapomni
Że byli tacy co polegli za nas.
Dla nich przed jutrem zatrzymał się czas
Choć głębiej ciałem doświadczyli nocy
I nieśli siebie — za nas — na głuchy spoczynek.

Chciałem opisać ocaloną pamięć
I ścieżką nocy iść za igłą serca —
Kochać bezbarwność naszych dni
Formy ciemności, dzień zaszczuty nocą.

Chciałem opisać dzisiejszą planetę
Gdzie ocaleni wolno przychodzą do siebie.



SPIS RZECZY

<i>Après le déluge</i>	7
<i>Niedomówiona rzecz</i>	8
<i>Dno</i>	9
<i>Lekcja ewolucji</i>	10
<i>Czy można dziś budować na niepewnych słowach</i>	11
<i>Przypowieści</i>	13
<i>Chorał dla poety</i>	14
<i>Ciągle się boję że przedwczesna noc</i>	16
<i>Na antypodach</i>	18
<i>Moja epika</i>	20
<i>Przez igielne ucho</i>	28
<i>Cyrk</i>	29
<i>Wyspa</i>	31
<i>Ocalenie</i>	33
<i>Tajemnica</i>	34
<i>Akt</i>	35
<i>Oto tu jestem jak pasterz bez trzody</i>	36
<i>Dialog na jeden głos</i>	38
<i>Koncert</i>	40
<i>O narastaniu życia</i>	42
<i>Przykład na perpetuum mobile</i>	45
<i>Stenogram do poematu</i>	47
<i>Dante na dzisiaj</i>	49

<i>Ptaki</i>	50
<i>Obrona ziemi</i>	52
<i>W sprawie wiersza</i>	65
<i>Widziałem obrazy Van Gogha</i>	66
<i>Z Sartra</i>	68
<i>Wariacje na norwidowskie tematy</i>	69
<i>Z Kierkegaarda</i>	71
<i>Oczy kobiety z portretu Picassa</i>	72
<i>Lebensztajna portrety wnętrza</i>	74
<i>Mały erotyk na dwa ciała</i>	75
<i>Medea</i>	76
<i>Z Freuda</i>	78
<i>Sylvia Plath</i>	79
<i>Gdybym był Norwidem</i>	81
<i>Onegdaj</i>	83
<i>I ja za moje resztki</i>	84
<i>Arka</i>	85
<i>Opis miasteczka Ch.</i>	86
<i>Spojrzenie</i>	88
<i>Psalm na spotkanie z nocą</i>	89
<i>Kamień i lament</i>	92
<i>Pogorzelsko</i>	94
<i>Ars poetica</i>	95
<i>Epilog</i>	98
<i>To wszystko</i>	99
<i>Atlantyda</i>	100
<i>Nic</i>	101
<i>Z „Dziennika” Gombrowicza</i>	102
<i>Post scriptum</i>	104

A C H E V E D'IMPRIMER
Le 28 J A N V I E R 1965
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1965

Sundbybergs
stadsbibliotek

GALLRAD FRÅN
SUNDBYBERGS STADSIBLIOTEK

Från: 1

075 00 63 0001 82 0183 00 02 01



Hmc.03 IWANIUK Wybor
wierszy /65

Cena 7,50 F. (11/6; dol. 1,75)